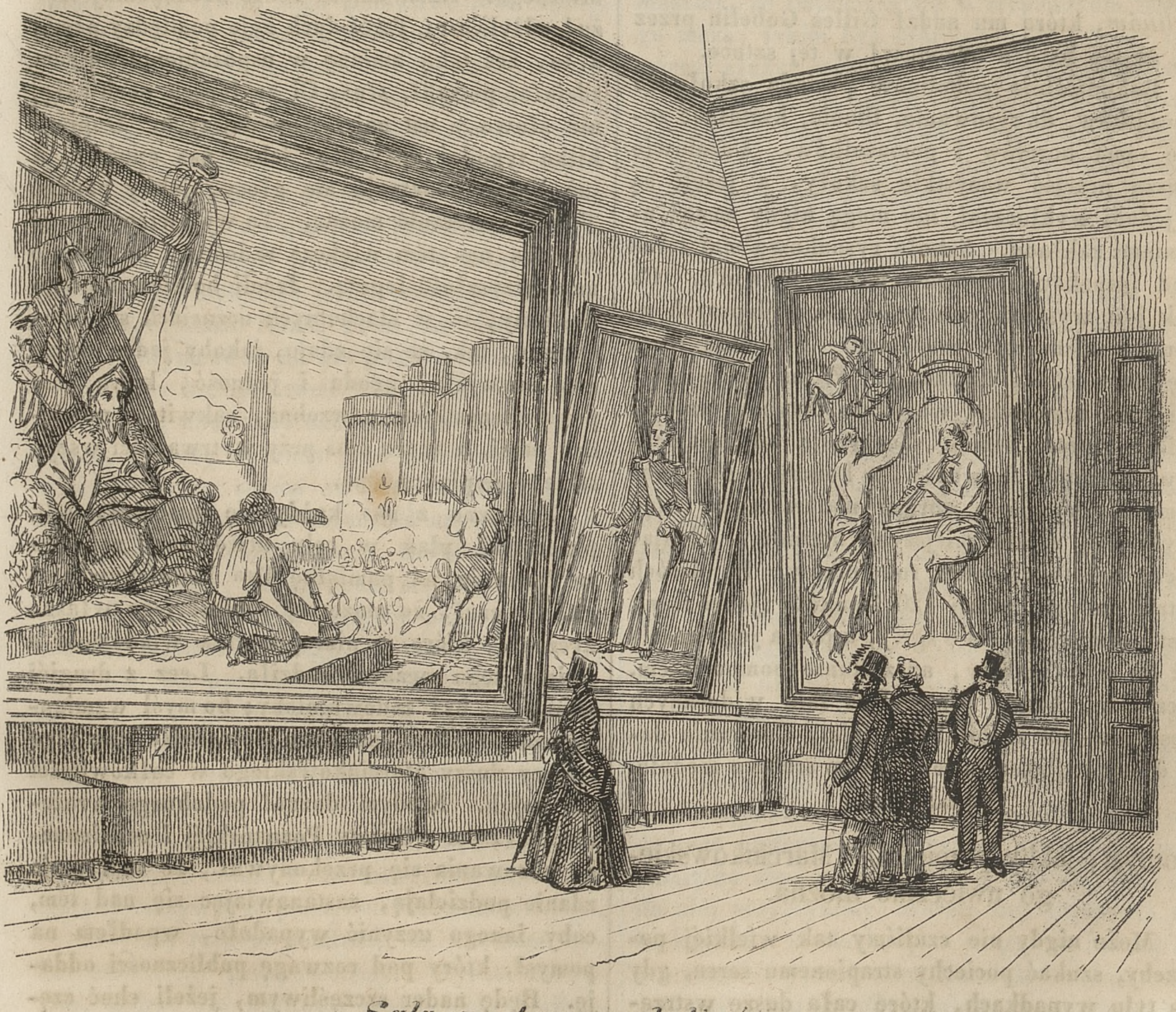
**Nr. 43.** **Rok 13.**

# PRZYJACIEL LUDU.

**Leszno,** *dnia 24. Października 1846.*

*Rękodzielnia gobelinów. — Pomysł, jakby pamięć Dra Marcinkowskiego uwiecznić można. — Waltera Skotta pomnik w Edinburgu. — Legenda przez Ad. Am. Kosińskiego (ciąg dalszy). — Doniesienie literackie. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.*



*Sala wystawy gobelinów.*

## Rękodzielnia gobelinów.

Sztuka tkania kobiercy, pomiędzy któremi tak nazwane *gobeliny* osobny rodzaj stanowią, pochodzi ze wschodu. Pergamus, Tyrus, Sidon i Babilon posiadały kobierce, które złotem i srebrem były wyszywane. Gdy Krzyżownicy przynieśli tę sztukę do Francyi i tam się wydoskonaliła, użyto tych wyrobów do ozdobienia pałacy i kościołów. Tak w Krakowie do dziś dnia w kilku świątyniach je znajdujemy. Jakim sposobem wydoskonaliła się ta sztuka we Francyi, nie wiadomo, lecz mnóstwo kobiercy dowodzi, że musiała być znaną w 15. i 16tym wieku w wielu miejscach. Królewska rękodzielnia gobelinów była podług jednych w r. 1450, podług drugich dopiero za Franciszka I. w Paryżu w tém samém miejscu, gdzie się teraz znajduje, założoną, a znaną jest od początku 17go wieku pod nazwiskiem *domu Gobelinów*, którą mu nadał Gilles Gobelin przez to, że się bardzo odznaczył w téj sztuce.

Rękodzielnia gobelinów posiada szkołę do początków, do rysowania, tkania, kształcąc sobie sama uczniów i pomocników. Uczniowie muszą przejść wszystkie szkoły, a jeżeli są z jednéj wykluczeni, nie mogą nigdy zostać uczniami zakładu. Szkoła rysunkowa stoi teraz pod inspekcyą Mulard'a ucznia Dawid'a. Co rok jest wystawa na nagrody, a najlepszych uczniów odznaczają medalami. Podobnie rzecz się ma z szkołą do tkania. W niéj uczą ustawienia i urządzenia warsztatu, wyboru modeli i farb i pracy saméj. Zaczynają od ornamentów, kwiatów i owoców, a kończą naśladowaniem historycznego obrazu malarskiego. Stąd wybierają najzręczniejszych uczniów, oddając pierwszeństwo synom robotników. Po dwóch latach odbiera uczeń 120 franków (jeden frank jest prawie tyle, co 8 sgr.), a płaca jego rośnie aż do 400 franków, aż zostanie pomocnikiem. Uczniów, którzy przez dwa lata widocznych postępów nie zrobili, oddalają. Corocznie dają dwom najlepszym robotnikom srebrne medale.

---

## Pomysł, jakby pamięć Dra Marcinkowskiego uwiecznić można.

Może nigdy nie czuliśmy tak wielkiéj potrzeby, szukać pociechy strapionemu sercu, gdy po tylu wypadkach, które całą duszę wstrząsnęły, umysł nasz prawie całkiem skołatany został. W tym roku przekonaliśmy się o prawdzie zdania powszechnego, że kiedy los kogo ściga, to nie dosyć na jedném nieszczęściu, lecz cały szereg zwalić się musi. Pomiędzy témi klęskami nieposlednie zajmuje miejsce śmierć Marcinkowskiego. Lecz jakkolwiek srodze nas dotknęła i prawie do rozpaczy przywodziła, iż osierocił nas, nie zostawiwszy godnego następcy; uczuliśmy i czujemy niejaką pociechę, gdy widzimy, iż wszystko, starcy i dzieci, bogaci i ubodzy, panowie i kmiecie, Polacy i Niemcy, o tém tylko myślą, jakby zgasłemu cześć swoję okazać mogli. Pociecha ta tém więcéj nas pokrzepia, gdy wśród powszechnego smutku i zmartwienia dusze nasze tak zmalały, iż zdawało się, żeśmy opuściwszy ręce, o wszystkiem powątpiewać, co więcéj, rozpaczać poczęli. Była to chwila otrętwienia publicznego. Dziś, dzięki Tobie wiekopomny mężu! odżyliśmy; Twój duch żyje pomiędzy nami; a to, żeś taką zmianę w usposobieniu naszém zdziałać potrafił, służy Ci za lepszą pochwałę, niż słowa z ust najwymowniejszych. Dopiero kilka tygodni upłynęło, jakeś nas opuścił, a już liczne odzywają się głosy, jakby pamięć Twoję uwiecznić można. To wyjawienie uczuć napawa nas tém większą radością, bo rokuje nam przyszłość lepszą. Jeżeli bowiem do tego doszliśmy, iż w ślachetnych uczuciach się spotykamy, tak, że się zdaje, jakoby jedna dusza nas ożywiała, zgoda i jedność, która nam przedewszystkiem potrzebna, zakwitnie pomiędzy nami, a w ten czas przy wytrwałości wszystkiego dopiąć można.

Zapewne z nas każdy się ucieszył, gdy przeczytał plan w celu utworzenia zakładu w Poznaniu na pamiątkę Dra Marcinkowskiego; bo czuł, że może się spełnić jego własne życzenie, które w nim pierwsza wiadomość o śmierci tego męża wzbudziła. Lecz z drugiéj strony nie był zadowolniony; bo myśl wzmiankowanego planu jasno mu dowodziła, że jego twórcy duszy Marcinkowskiego w całkowitości nie pojęli. Kiedym doznał podobnego wrażenia, a razem z Gazety Poznańskiéj i codziennego obcowania się przekonywał, że inni moje zdanie podzielają, zastanawiając się nad tém, coby innego uczynić wypadało, wpadłem na pomysł, który pod rozwagę publiczności oddaję. Będę nader szczęśliwym, jeżeli choć czę-

ściowo przyjętym będzie; gdyby zaś i to nie nastąpiło, pocieszać się będę tém, iż wypełniłem powinność moję, jakem mógł.

W tém się wszyscy zgadzamy, że Towarzystwo Nauk. Pomocy, jest najdroższą dla nas puścizną po ś. p. Marcinkowskim. Jeżeli więc rzecz tak się ma, wystawimy zapewne najlepszy pomnik Marcinkowskiemu, dokładając wszelkiego starania, abyśmy jego dzieło nie tylko utrzymali, ale coraz nowemi siłami wzmacniali. Tę myśl objawili wszyscy, którzy się w Gazecie Pozn. słyszeć dali; nią powodowany pan N. podał w téjże Gazecie tę myśl, aby całe Towarzystwo *Towarzystwem Marcinkowskiego* nazwano. Zaiste pamięć Marcinkowskiego byłaby w ten sposób uwiecznioną. Lecz pytam się, jakaby korzyść ztąd wynikła? Czyliż godzi się, abyśmy, oddając cześć mężowi czynu, przestawali na tém, coby tylko czczą było formą? Nie ganię tego pomysłu, lecz sądzę, że chcąc uczcić Marcinkowskiego, który każdy krok życia swego czynem napiętnował, musimy coś uczynić, coby nam po wszystkie czasy męża tego przypominało, a razem narodowi prawdziwą korzyść przynosiło. W ten sposób wywiążemy mu się z długu wdzięczności, a razem pokażemy, że pojmujemy Marcinkowskiego, którego dusza nigdy próżności nie uległa.

Może nie mylę się, jeżeli utrzymywać będę, że Towarzystwo Nauk. Pom. ma dwie słabe strony, n a j p r z ó d: że nie jest tak zabezpieczone, iżby w każdym razie bez przeszkody działać mogło, chociażby nadzwyczajne zaszły zdarzenia, któreby dochody jego uszczuplały; p o w t ó r e: że w całém swojém urządzeniu nie ma nic takiego, coby młodzież ożywiało i do ślachetnego współubiegania zachęcało. Aby temu zapobiedz, podaje nam się dzisiaj najlepsza sposobność, gdy wszyscy pragną uczynić coś dla Marcinkowskiego, a razem w tém się zgadzają, że, ponieważ Pomoc Naukowa jest jego najpiękniejszém dziełem, ją więc wspierać i zasilać trzeba, aby coraz zbawienniéj wpływać mogła. Do tego zmierza mój pomysł, jest on następujący:

1ód. Największe stypendya, których dotąd Towarzystwo Nauk. Pom. młodzieży udzielało, mają się nazywać stypendyami Marcinkowskiego.

2re. Do tych stypendyów ma być sam wybór młodzieży przypuszczany. Tylko uczniowie, którzy się wzorową moralnością i pilnością odznaczają, mogą być uważani za godnych, aby się nazywali i byli stypendyatami Marcinkowskiego.

3cie. Stypendya te nie mogą być liczne. Może byłby następujący stósunek wystarczający: na gimnazya 3, na wyższe rzemiosła 2, na seminarya nauczycielskie 1, na uniwersytet 1.

Z tych 3ch punktów pokazuje się, że Towarzystwo nie byłoby wystawione na nowe wydatki przez zaproponowane urządzenie; dotychczasowe dochody wystarczałyby, aby myśl ta urzeczywistnioną została. Na pozór więc żadnaby zmiana nie zaszła; lecz kto się głębiéj nad rzeczą zastanowi, kto ma cokolwiek wiadomości pedagogicznych, przyzna, że takie urządzenie będzie dzielnym bodźcem, aby młodzież się lepiéj zasługiwała. Znając bowiem ślachetne skłonności serc młodych, a razem żądzę, aby do pierwszych należały, wątpić nie możemy, że ubieganie się o stypendyum takiego męża, jakim był Marcinkowski, który tém więcéj służyć może za wzór ubogiéj młodzieży, że sam ubogi, przez własną pracę dobił się najwyższéj czci, wzbudzi największy zapał w młodzieży, aby usilnie pracując, naśladując swego dobroczyńcę, stała mu się wreście podobną.

Lecz w ten sposób doślibyśmy dopiero do jednéj rzeczy, pozostałaby jeszcze druga, równie ważna, aby byt Towarzystwa był więcéj ustalony.

Chociaż ustanowienie stypendyów Marcinkowskiego bez nowych wydatków dla Towarzystwa obyć się może, byłoby jednak rzeczą nader pożądaną i dla Towarzystwa bardzo zbawienną, gdyby te stypendya miały stały fundusz, którzyby wcale nie zależał od rocznych składek. Trudno w naszych czasach zbierać kapitały; lecz gdzie jest prawdziwe poświęcenie, a zwłaszcza takie, które najpiękniejsze wydać może owoce, tam każda pora jest dobra.

Wdzięczność ku Marcinkowskiemu jest w nas tak wielka, iż jeżeli godnie ją okazać chcemy, powinniśmy ją nie tylko w sercu zachować, lecz i czynem objawić. Dziś podaje nam się do tego najlepsza sposobność; złóżmy na jego pamiątkę choć małą ofiarę, a gdy się wszyscy do niéj przyczynimy, urośnie bez wątpienia taki kapitał, iż dochody z niego wystarczą na utrzymanie stypendyatów Marcinkowskiego. Jeżeli zaś w ten sposób postąpimy, dopniemy po-

dwójnego celu; raz, obdarzymy Towarzystwo Nauk. Pom. żelaznym funduszem, który je oswobodzi od obawy, aby kiedykolwiek przez nieszczęsne okoliczności w swém działaniu wstrzymanem nie zostało; drugi raz okażemy się w najpiękniejszy sposób wdzięcznymi zgasłemu rodakowi, bo wesprzemy dzieło jego filarem, który mu dotąd do jego wykończenia był potrzebny. Tylko takiego lub podobnego pomnika pragnie dusza Marcinkowskiego; każdy inny, na czczym tylko blasku oparty, nie zgadzałby się z jego usposobieniem.

## Waltera Skotta pomnik w Edinburgu.

Dnia 15go Sierpnia b. r., w urodziny Waltera Skotta, odsłoniono pomnik, który mu wdzięczność i uwielbienie ludu wystawiło. Do tego pomnika położono kamień węgielny przed sześciu laty. Składa się z wspaniałéj gotyckiéj spiczastéj wieży, która spoczywa na czterech łukach, ozdobionych bogato wieżyczkami. Niże zawierają najsławniejsze charaktery z romansów Waltera Skotta w naturalnéj wielkości. Zajmuje przestrzeń 60 stóp kwadratowych, a wysokość wynosi 130 stóp; koszta dochodzą oprócz posągu 15,650 funtów szterlingów. Posąg zrobiony przez Johna Steell, rzeźbiarza szkockiego, wielkości więcéj niż podwójnie naturalnéj, z marmuru karraryjskiego, powszechnie jest podziwiany dla prawdziwie artystowskiego pojęcia, dla dobitnego podobieństwa rysów, dla wierności w formie i ubiorze i dokładnego wykonania wszystkich drobnostek, które i Waltera Skotta charakteryzują. U nóg poety leży z głową do góry jego sławny pies Maida, jak gdyby się cieszył razem z panem z wykończenia nowego dzieła.

## Przewóz przy Kazimierzu lubelskim.

(Ciąg dalszy.)

Co się tyczy wojewodziny i innego państwa, że mało dotąd zajmowałem się niemi, teraz to uczynić wypada.

Wielmożna to i poważna osoba pani z Borkowic; wysoki ród i dostojność poznasz z jéj powierzchowności od razu, ubiór bogaty, ciężki jedwabny płaszcz i suknia z podobnéj materyi, na piersi złoty łańcuch, na szyi Uryańskie perły, chłodna powaga na twarzy, usta blade i wązkie, oko dumne miota spojrzenia, dostojnością swoją przesiąkła puszy nią i od świata się zagradza. Nie jest to kobiéta, nie jest żona i matka, lecz tylko wojewodzina, piérwsza dygnitarka w kraju, pani jaśnie wielmożna.

Przy grabini z Borkowic siedzi jéj siostrzanka Jadwiga z Dzierżykraju, wielce szlachetnego rodu Nałęczów dziewica, wychowanka wojewodziny; jest jak ona poważna, układna i dumna, młoda krew nie grzeje duszy, serce może w piersi jest, ale czyż ono ma bić, czy ma z żywszém jakiém uczuciem ozwać się? Gdzieżby znowu tak było! Alboż kochanie przystoi hrabiowskiéj plemienniczce? plebejuszowie niech się miłują, uczy ciotka; to ich rzecz, nie raz jedyna w biédzie pociecha; od wysoko urodzonych dziewic podobne głupstwo dalekiém być winno; szczęście dla nich, nie jakieś tam uczucia serca, wzajemność, lecz świetny tytuł, honory i obszerne imiona.

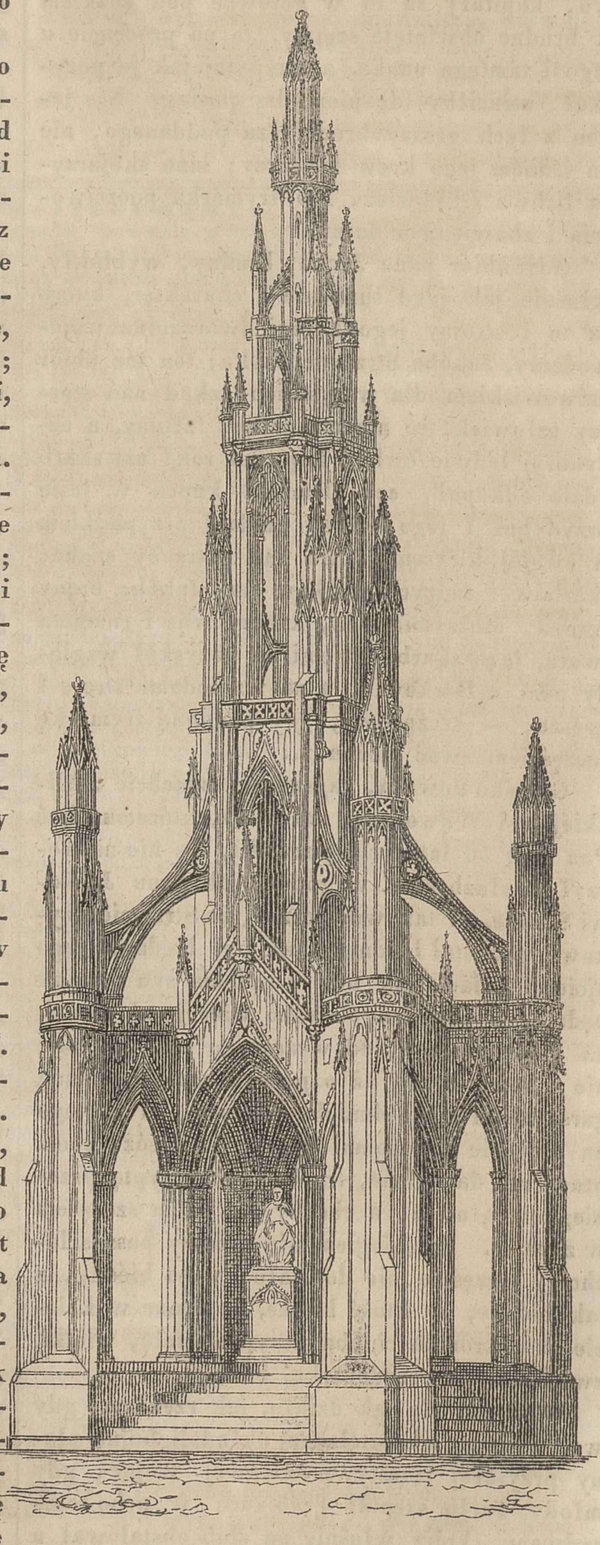
Za panną z Dzierżykraju, do jéj ucha nachylony, stoi Otto z Sczekarzowic; urodny to młodzian, lat mu najwięcéj dwadzieścia pięć, włos czarny, wąs czarny, strój bogaty, jedwabny kaftan, podobny płaszczyk, na głowie kapelusz o strusiém piórze, za pasem kordelas o złocistéj rękojeści, u kordybanowych czerwonych bótów złote ostrogi, bo też modny to kawaler pan Otto, ulubieniec niewiast i piérwsza ozdoba dworu króla Kazimiérza, z czary życia pełną miarką pije, na wołowéj skórze nie spisałbyś jego miłosnych intryg; teraz przecież wyłącznie grabianką Jadwigą zajęty, dla niéj opuścił dwór, dla niéj nudne życie w Bochotnickim zamku wieść będzie; straszy go to wspomnienie, ale przyszłość pociesza, niech tylko rękę grabianki otrzyma, jéj rękę, a z nią nie miłość; mało zważa na taką drobnostkę, lecz milionową fortunę, trzy miasta, cztérnaście zamożnych sioł, powróci do Krakowa, wynagrodzi sobie nudy konkurów, wynagrodzi z lichwą ciężar piérwszych dni małżeńskich węzłów. Rozwija się przed nim w czarujących kolorach przyszłość, a przyszłość szczęśliwa, bogata w złoto i wszystkie rozkosze żywota.

A gdy Otto z Sczekarzowic szeptał do ucha narzeczonéj, nie oświadczenia miłosne, kłamać bowiem nie umiał, a nadto snadno zrozumiał, że nie trafiłyby one do zimnego serca grabianki, lecz gdy w czarownych obrazach pluskał jéj w oczy blaskiem piérwszego miej-

sca na dworze, urokiem turniei, bogactwem sukienek, świetnością rydwanów; inną Spytko Zaklika wiódł z wojewodziną rozmowę.

Wielki zaś i możny pan był ten Spytko Zaklika, człowiek, jak wszyscy Toporczykowie, rycerski, za Łokietka Krzyżaków pod Płowcami bił, Tatarów i Litwę bił na Rusi Czerwonéj i Podolu już za Kazimiérza, dzielnie zaś walczył, trzeba prawdę dać; nie raz znakomicie przyłożył się do zwycięstwa, nie raz go swoją okupił krwią; ale cóż, samo rycerstwo nie zdobi człowieka, trzeba jeszcze, aby miał serce w piersi, sumienie w duszy; sumienia i serca brak przecież kasztelanowi, twarda stal jego zbroi, lecz twardszy jego charakter, silne ramię, lecz duma jeszcze silniejsza. Téj dumie położyć hamulca nie sposób, pohamować namiętności także nie sposób, wszystkie zaś one szpetne, złość, gniéw, upór, zawiść; dla tego kasztelan w powszechnéj niesławie i zgrozie u całéj krainy; co dzień skargi do króla przychodzą, jako sąsiada najechał, wdowę lub sierotę bez opieki, z majętności wyrzucił, poddanego, za lekkie jakieś tam uchybienia, wziął na tortury; kupca Ormiana z fortuny odarł, żyda bisurmana, że pieniędzy dać okupem nie chciał, powiesił. Król Jmć, dobry pan, lecz sprawiedliwy, a często i surowy sędzia, dobry kier rad widzi w kraju, a solą mu w oku bezprawia; dla tego napominał zuchwałego panka, do powinnego uszanowania praw skłaniał; lecz gdy nie pomogły łagodne słowa, rozgniewał się, odjął magnatowi zaszczyty, infamią zagroził, a z dworu i rady wygnał.

Co do czterech szlachty, różne ich postawy, ubiory, jak zamożność i charaktery różne. Dziedzic na Głusku, jegomość spasły, pękaty, puszy swoją fortuną, choć długów na niéj nad wartość, i za wielce ważną ma się personę, bo swéj moralnéj nicości nie widzi. Plenipotent kasztelana, Jacek Skóra Jastrzębczyk, figura Judaszowego układu, słodkie jego spojrzenie, ukłony nizkie, uściski gęste, słówka szalbiercze zawsze na podorędziu, bo też pan Jacek łotr, jak drugiego na Bożym świecie trudno napotkać; lichwiarz, łgarz, pieniacz, lecz, że wierny sługa pański, że ślepo do odebranych rozkazów umie się stósować, a gdy krzywdę ludzką mają na celu, to i wypełniający je z naddatkiem; miły więc, poufny, — wierność jednak przeszkodą nie jest słudze, aby pana nie



*Pomnik Waltera Scotta w Edinburgu.*

kradł, dla tego u plenipotenta grosz nie dziwo, kapitały są to w gotówce pod łóżkiem w brudne obwinięte szmaty, to na procencie u tego i tamtego panka, a nie pytaj jak je pozyskał, straciłbyś do pieniędzy pociąg. Nie jeden z tych groszy brudzi łza poddanego, nie na jedném jego krew błyszczy; inne skojarzyła lichwa i kradzież, lub frymarka poczciwością i zbawieniem duszy.

Gdy ubiór pana Jacka, brudny, wyblakły, właśnie jak jego sumienie i charakter, butny za to i strojny jego kolegi dworzanina wojewodziny, Jakóba Strzemieńczyka; ten też ubiór dziwowiskiem dla wszystkich, zkąd nań starczy człowiek, co nie ma żadnéj fortuny, a ordynaryi ledwie ćwierć kopy na rok? czy skarb gdzie odkopał, czy Ormiana kupca w lesie przydybał i jego worek znalazł przypadkiem w swojéj kieszeni? Nie ma potrzeby szukać skarbów i cudzych worków pan Jakób; bujny wzrost, olbrzymia siła, kruczy wąs i rumiana twarz, jego skarb. Niemi on pozyskał względy pani z Borkowic, a za względami stroje i grosze, — szczęśliwy, gdy podobną frymarkę szczęściem zwać można....

Grześko Powała, zagrodowy szlachcic z bliskiéj wsi Wąwolnicy, człowiek, któremu choć Pan Bóg 50 lat życia pozwolił, los nie nastręczył ni służby tak wygodnéj jak panu Jackowi Skórze, ni tak wdzięcznéj jak Strzemieńczykowi, pozostał biédnym, jak był biédnym jego ojciec i dziad, jak bez wątpienia syn i wnuk będzie, a przecież Grześko więcéj od innych na grosz pracuje, od wczesnego rana na roli; nie schodzi z niéj aż o późnym mroku, każdą garść ziemi swéj chudoby poruszy, ni jednego na niéj nie przepomni kłosa; lecz cóż, sama praca nie da chleba, trzeba miéć szczyptę przebiegu w głowie, a choćby łót jeden szczęścia w zapasie. Przebiegiem nie grzeszy nasz szlachcic, szczęście nie dopisało, więc biédny, a tak biédny, że litość bierze, że denar w kalecie cud, kromka chleba posypana solą, wielki, zwłaszcza na przednówku, bankiet.

Otóż gdy się tak działo, jak rzekłem, gdy wojewodzina z kasztelanem układali bujne plany przyszłéj zemsty i krwawéj wojny, gdy młody Tarło szeptał grabiance w ucho opis rydwanu, który właśnie na ślub obstalował u Niemca Maurstina w Krakowie, filozof, akademik Krakowski, Grześkowi Powale i żołnierzowi obok stojącemu, w górnolotnych wyrażeniach tłómaczył dziwy nieba i ziemi, gdy Gaszka niewiastka z Gaszkiem dworzanem domyślne zmieniali spojrzenia, a wieśniacy i hołota gwarnie rozprawiali o tém i o owém, o swym dziedzicu i księdzu plebanie, o włodarzu i biédzie, burza, o któréj wspominałem, z całą potęgą wybuchła.

— Do wioseł, do roboty, chłopacy! Kuba, zwiń żagiel! donośnym głosem wykrzyknął stérnik, flis znany w całéj okolicy z swéj sprawności, stary rzeczny wyjadacz, co Wisłę znał lepiéj od swéj chaty, bo pół kopy lat plondrował po niéj w różnych kierunkach. Do roboty chłopacy, wołał swym wioslarzom, czy widzicie, Poświst wyciągnął ku nam ramiona.

Chłopacy przewoźnicy, czterech ich było — w żylaste dłonie wiosła ujęli, Kuba starszy między niemi zwinął żagiel, a łódź popchnięta stérem i wiosłami, szparko niby strzała szybować ku Kazimiérskiemu brzegowi zaczęła.

Ale choćby miała sokole skrzydła, nie zdołałaby przecież ujść orléj burzy; w jednéj minucie dogoniła ją ona, objęła w mgliste swoje ramiona, i jak to rzekłem na wstępie, zbiła z drogi i miotała po gniewnéj rzece.

Niepodobna opisać trwogi, jaka wtedy ogarnęła podróżnych: ten się modlił, ów skarżył; ten biadał i ręce łamał, ów radził, inny z strachu głowę postradał, kasztelan do sternika podbiegł.

— A łotrze, a chamie, zgubiłeś nas!

— Ja nic nie winien, jaśnie panie; Bógby zgadnął, że pogoda tak się nagle zmieni; ni jednéj chmurki, gdyśmy od tamtego brzegu ruszyli, nie było na niebie.

— Ale nie ma niebezpieczeństwa? jak sądzisz?

Stérnik spojrzał na niebo i na łódź i Kazimierski brzeg, — jak długo żyję na świecie, nie widziałem podobnéj burzy, odparł. — Boże nas strzeż, pozwól przepłynąć war, lecz gdy będzie daléj jak jest, choćby ćwierć godziny, wątpię, abyśmy mogli zdążyć do lądu, nim się orkan rozdąsa.

Ale orkan nie czekał na ucieczkę łodzi; ledwie dorzekł swoich słów stérnik, jasna zygzaczna błyskawica czarne chmury rozdarła, i równo z jéj przenikliwym pobłyskiem, grom z trzaskiem walącego się świata, uderzył w rozhukane fale Wisły.

— Jezus Marya, ratuj! a słowo stało się ciałem! czterdzieści głosów wykrzyknie razem. Stérnik rudel z ręki wypuścił, magnat odskoczył na parę kroków, połowa podróżnych na

kolana upadła, grom był tak nagły a blizki, że się wszystkim zdawało, iż uderzył w samą łódź.

Wojewodzina blada, drżąca, podniesie się z swojego miejsca, nogi dygocą pod nią, głos drży, sternikowi woła:

— Dla Boga, poczciwy człowieku, ratuj! uratujesz, sto złotych mieć będziesz.

— A gdy nie, to na piérwszém drzewie powiesić cię każe, dodał, ochłonąwszy nieco z trwogi, a wtrop swego charakteru, kasztelan.

Stérnik ujął za rudel, nie straszy pogróżka magnata, nie nęci suta nagroda jaśnie pani, ale skłania do pracy poczciwość i obowiązek.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

## Doniesienie literackie.

Jako wstręt do zdrowych i pożywnych pokarmów, powstały w człowieku, nieomylną jest chorobliwości ciała jego oznaką; tak obojętność na własne wykształcenie, pogardzanie książkami, prowadzącémi nas do Boga i zamiłowania cnoty, znamieniem są zepsutego serca. *„Niczego się nie możesz po człowieku spodziewać dobrego,* — mówi przeto S. Jan Złotousty, (*a* — *jeśli go widzisz niestarającego przez czytanie pobożnych książek i rozpamiętywanie prawd Bożych, o utwierdzenie w dobrém.“*

Jako owad przybiera częstokroć na siebie barwę liści i kwiatów, jakiémi się żywi; tak i człowiek, przesiąka niejako zdaniami tych, z którymi obcuje, jeśli nie jest dość ostrożnym i usposobionym, aby dobre od złego rozróżnił i odepchnął od siebie czarę trucizny, tak często za zdrowy sobie podawaną napój. I jeżeli w życiu twojém starasz się o wiernych przyjaciół, u którychbyś w potrzebie radę i naukę, a pociechę znalazł w strapieniu; nie mniéj troskliwym Ci być należy, ażebyś, wybierając sobie, w chwilach wolnych od zatrudnień i pracy, książkę, mającą Ci korzyść jaką przynieść, do takich się zawsze uciekał, któreby cnoty uczyć, do pełnienia jéj zachęcić i zagrzać zdolne, czystém były dla Ciebie źródłem prawdy, pociechy i przykładów naśladowania godnych.

Zdaniem wszystkich, z bogobojności swojéj znanych mężów, po księgach Pisma ś., owéj krynicy niewyczerpanéj wszelkiéj prawdy i niezmąconego źródła pociechy i ochłody, Żywoty Świętych Pańskich pierwsze zajmują miejsce. (*b*) Czytając je i podziwiając w Świętych Pańskich, miłość ową gorącą Boga i bliźniego, ową wytrwałość w dobrém, poświęcenie się bez granic dla prawdy i cnoty; któż nie będzie ich chciał naśladować i żywot swój podobnym ich żywotowi uczynić, a tém samém zapewnić sobie pokój duszy, którego świat nie zna i dać nigdy nie może? — Żywoty Świętych są dla nas najdzielniejszymi mówcami, porywającymi za sobą; i to nie słowy tylko, bez najmniejszego często przebrzmiewającémi skutku, ale czynami i dziełami, godnémi naśladowania. Cenili już poganie wysoko cnoty i zasługi tych, co dla kraju swojego coś uczynili znakomitego; imiona mężów takich zapisywano w rocznikach dziejów ojczystych, — stawiano im pomniki, — na cześć ich śpiewano pieśni, aby tym sposobem pamięć ich przekazać potomności i zachęcić ją do naśladowania. Miałżeby Kościół, — ta o szczęście dziatek swoich troskliwa matka, z taką pieczołowitością pielęgnująca je i prowadząca do żywota, — być obojętnym względem tych, co szczególniejszemi, pomiędzy jéj synami i córkami, zajaśniali cnotami? — Nie! zachowuje imiona ich Kościół, przypomina ich zasługi wiernym często, przemawiając do dziatek swoich: „Patrzcie, dziatki! oto przodkowie wasi, oto ojcowie i matki wasze, co podobnie jak wy żyli na tym świecie, — w podobnych wam znajdowali się stósunkach, — z témi samémi, co i wy, walczyli pokusami i przeszkodami, — pokonali je szczęśliwie, wytrwali w dobrém do końca, a w nagrodę cnót swoich, są dziś w niebie, u Boga, gdzie i wy obok nich staniecie, jeśli tylko w ślady ich będziecie wstępować.“

„Jeśli na niebo i gwiazdy i słońce tak piękne, z rozkoszą patrzysz: jeżeli ozdoby ziemi w górach i pagórkach i polach, i w zieloności i kwieciu i w rzekach i lasach i gajach ślicznych, uciechę tobie miłą dają; — pisze wielki nasz Skarga, (*c*) — jeśli na ptakach, śpiewaniu ich i piórkach pięknych, i na zwierzach rozmaitych dzikich i domowych, oko twoje chłodzisz: a jako się patrząc na Święte Boże nie ochłodzisz? — To wszystko nierozumne stworzenie jest, jako ślad tylko Boga nieogarnionego: a Święci są jako twarz i obraz i podobieństwo jego. Na Boga jeszcze patrzeć nie można: ale obrazem jego ucieszyć się możem. O jaka wielka ochłoda! Święci są obrazem Boga żywego: o jako pięknie i miło na nie patrzeć! Święci malowaną twarz Boską cnotami Boskiemi i od Boga wlanémi na sobie mają: o jako wdzięczny to obraz, o jako oczy wiernych uwesela!“

W gronie Świętych znajdziesz prawych sług Bożych z każdego niemal narodu, każdego wieku, płci i stanu, a w życiu ich, potrzebną dla siebie naukę, zachęcenie do zamiłowania cnoty, a w pokusach i cierpieniach, nieodłącznych od życia naszego, potrzebną ochłodę. Są pomiędzy nimi synowie i córki téj ziemi, którą w pocie uprawiamy czoła i po któréj chodzimy, — którą Bóg dał ojcom naszym w dziedzictwo. Tych to Świętych Żywoty, z pisarzy ojczystych i dziejów kościoła czerpane, zebrawszy, dla użytku wiernych, a mianowicie młodzieży, opowiedziane, za pozwoleniem Wysokiéj Władzy Archidyecezyi naszéj, pod napisem:

### „Żywoty Świętych Polskich“

wydać umyśliłem.

Żywoty te drukowane będą w księgarni *Ernesta Günthera* w Lesznie i Gnieźnie, porządkiem, jaki jest w Mszale Rzymskim, i tak urządzone, iż każdy Żywot, z wizerunkiem litografowanym, osobno drukowanym, i za nader umiarkowaną cenę, przedawanym będzie. Wszystkie zaś żywoty jednę książkę stanowić będą, do któréj w końcu osobny tytuł dodanym zostanie.

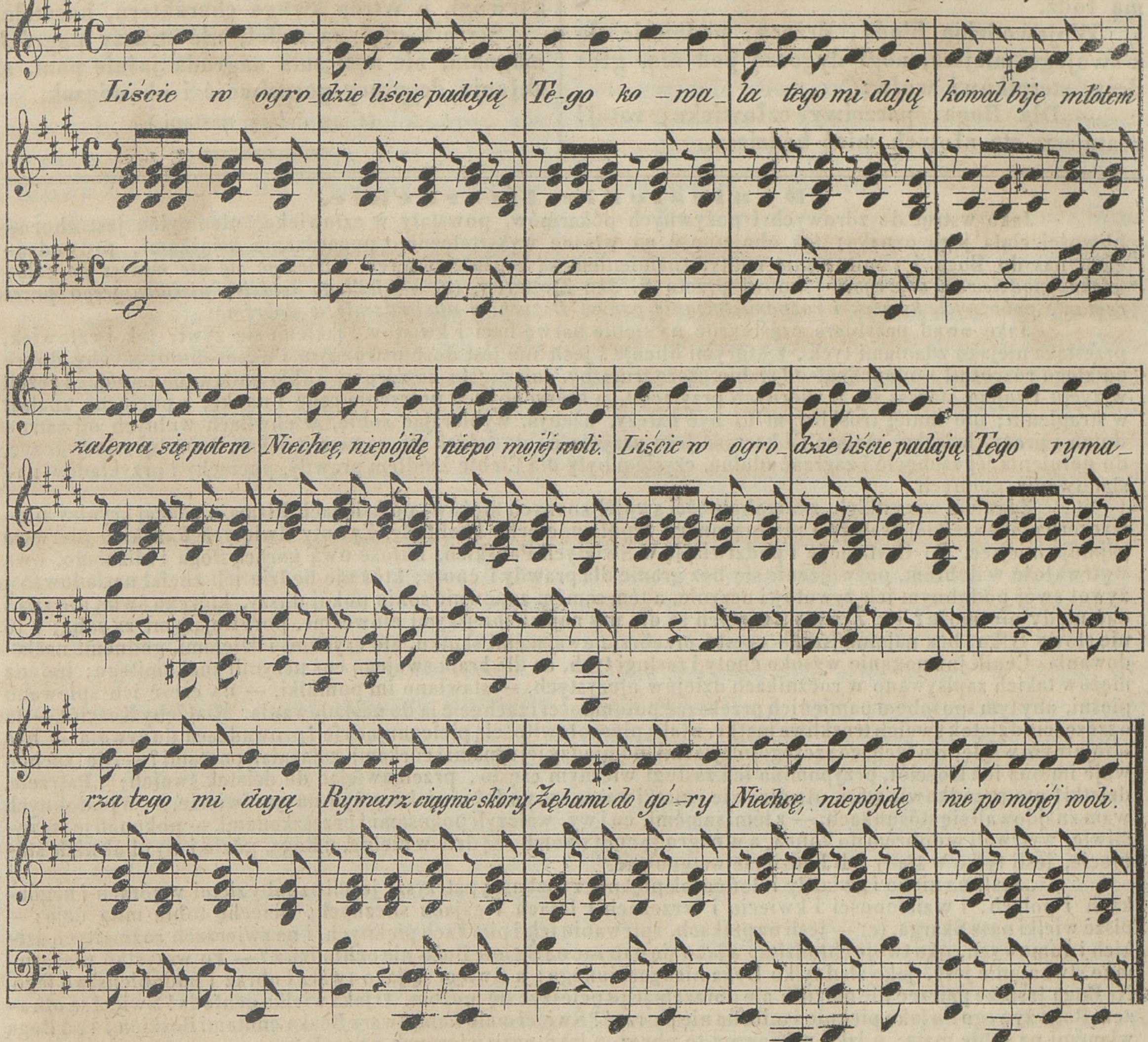
Nim zaś książka niniejsza drukować się zacznie, do Was, Szanowni Bracia i Współpracownicy w winnicy Chrystusowéj, pokorną prośbę moję zanieść widzę potrzebę. W wielu kościołach naszych śpiewa lud pieśni na cześć Świętych Polskich, których zebraniem — ile mi wiadomo — nikt się dotąd nie zajął. Chciałbym pienia te pobożne — jeśli P. Bóg pozwoli — zebrać i niejedno z nich korzystać; upraszam więc Was jak najuprzejmiéj, abyście na pieśni tego rodzaju, na najmniéj mianowicie znane, uwagę Waszą zwrócić i takowe spisane, mnie wprost lub też przez księgarnią *E. Günthera* w Lesznie i Gnieźnie przesełać raczyli.

W dzień Ś. Katarzyny r. 1846. Winnogóra pod Miłosławiem. **X. A. Tyc.**

(*a*) Chrys. hom. III. de Lazar. T. I. p. 738. edit. Ben.
(*b*) S. Augustini Conf. l. VIII. c. 6.
(*c*) W przedmowie do Żywotów ŚŚ. Pańskich.

## Nº 167.

*Z Wielkopolski.*




### Text do *Nru. 167.*

1. Liście w ogrodzie, liście padają,
Tego kowala tego mi dają;
Kowal bije młotem,
Zalewa się potem,
Nie chcę, nie pójdę — nie po mojéj woli.

2. Liście w ogrodzie, liście padają,
Tego rymarza, tego mi dają;
Rymarz ciągnie skóry,
Zębami do góry;
Nie chcę, nie pójdę — nie po mojéj woli.

3. Liście w ogrodzie, liście padają,
Tego stolarza, tego mi dają;
Stolarz robi skrzynki,
Rad kocha panienki,
Nie chcę, nie pójdę — nie po mojéj woli.

4. Liście w ogrodzie, liście padają,
Tego skotarza, tego mi dają;
Skotarz pędzi krowy,
Rad on kocha wdowy;
Nie chcę, nie pójdę — nie po mojéj woli.

5. Liście w ogrodzie, liście padają,
Tego garncarza, tego mi dają;
Garncarz robi garnki,
Rad on kocha starki;
Nie chcę, nie pójdę — nie po mojéj woli.

6. Liście w ogrodzie, liście padają,
Tego młynarza, tego mi dają;
Młynarz mele mączki,
Rada jadam pączki;
Chcę go i pójdę — bo po mojéj woli.

(*J. J. Lipiński*, P. l. W. str. 70.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)